Janina Łagoda

Stało się coś koszmarnego. Jednego dnia dokonano politycznego mordu na Prezydencie Gdańska i boleśnie zraniono godność dyrygenta Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy (WOŚP). W tym okrutnym momencie (13 stycznia 2019 roku) obydwóch wprawdzie dzieliły kilometry, ale łączyła idea czynienia dobra we wspólnym społecznym działaniu. Prosty to przepis na szlachectwo i co ważne, zweryfikowany czynami. Jeden tworzył z Gdańska metropolię przyjazną jej mieszkańcom i wzbudzającą ponadkrajowy zachwyt. Drugi swoją pasję ulokował w niesieniu pomocy chorym dzieciom i seniorom poprzez zakupy sprzętu medycznego dla szpitali i hospicjów za datki zbierane podczas corocznych jednodniowych (druga niedziela stycznia) zbiórek pieniędzy organizowanych w kraju i na świecie. Ich suma w ciągu 27. lat wspólnego grania przekroczyła miliard złotych. Przedsięwzięcie wielkie, oparte na wolontariacie, wzbudzające podziw, ale i zawistną zazdrość. Ten moralny wulgaryzm nie ominął szlachectwa czynów tragicznie zmarłego. Oni się znakomicie rozumieli i wspierali. Niewytłumaczalna jest śmierć Prezydenta w godzinie wznoszenia światełka do nieba, kończącego pracowite niedzielne koncertowanie. Transcendencja, przypadek czy tylko wyrafinowany akt zemsty będący upustem natłoku nienawiści zalegającej w jaźni sprawcy i sączącym się zewsząd jadzie niszczącym korzenie wspólnotowej jedności. A może wszystkiego po trosze, łącznie z obojętnością instytucji państwa wobec zgnilizny.

Żołnierze zła

Trudno sobie uzmysłowić, że godne intencje obydwóch animatorów dobrej sprawy mogą wzbudzać czyjąkolwiek negację. Życie pozostaje otchłanią. Nie wiadomo jakie intencje przyświecają tym, którzy nienawidzą dobra. Oni w swoim hermetycznym mniemaniu prawdopodobnie też kierują się wzniosłymi pobudkami na swój sposób rozumianymi, lecz odpornymi na głosy rozsądku. Złożona to materia wymagająca wszechstronnych analiz, ale czy wnioski, jakie popłyną będą dla nich przyswajalne? Dialog, empatia, kompromis, wzajemna życzliwość, a więc to, co cementuje społeczną wspólnotę i wzmacnia potęgę dojrzałych demokracji, u nas stały się osobliwymi pojęciami zepchniętymi w zaklęte antagonistyczne rewiry. Nastał czas dwubiegunowości intensywnie pogłębianej transzeją wzajemnych animozji. Uwielbiamy toczyć boje na zaściankowym poletku, nie bacząc na i międzynarodowe konsekwencje. Przecież żyjemy w globalnej sieci współrzędnych, a to gmatwanina sukcesów i niepowodzeń. Łatwo więc sprowokować zwarcie z interesami innych, a wówczas naszą zagrodą zaczynają wstrząsać nie tylko międzynarodowe instytucje, z którymi pozostajemy w traktatowych układach, ale także trybunały sprawiedliwości, i co gorsze, biznesowe korporacje. Państwu będącemu na skwierczącym rożnie trudno roztaczać optymistyczne wizje. Gdańska zbrodnia i sekowanie Orkiestry podsycają już tak nadmierny żar.
Obaj przesączeni ojczyźnianymi aspiracji ku solidnemu i otwartemu państwu podejmowali czyny w obszarach swoich kompetencji, które wspomagały ziszczenie się pokoleniowych pragnień Polaków. W lot zgłębili szanse, jakie daje nam III RP i starali się skutecznie ten dar ubogacać. Wnet okazało się, że niektórym rządzącym zależy na budowie nie solidnego, lecz partykularnego państwa, gdzie niewielka tzw. parlamentarna przewaga wypływająca z urnowych przeliczników wydaje się być intelektualnym szczytem. Konsekwencją tego jest

szaleńcza walka ze wszystkimi i wszystkim, co chociażby szczegółem różni się od przemyśleń sztabowców z Nowogrodzkiej. Zarządzanie strachem to znak rozpoznawczy dobrej zmiany, której chodzi o wyborcze zwycięstwa, a nie o pracę dla dobra państwa, które przecież nie jest ideologicznym związkiem, lecz egzystencjalną wspólnotą.
Do dobrostanu można dochodzić różnymi sposobami, ale niegodziwe są sytuacje, kiedy jedni pogardzają dorobkiem innych w myśl naiwnego porzekadła: nie, bo nie. Górę wzięła perfidia obtoczona pyłem małostkowej zazdrości wobec rosnącego społecznego zachwytu nad efektami roboty tych dwóch osób, nomen omen, rodowitych gdańszczan i pasjonatów wokół nich skupionych. Władze zamiast wzmacniać ich szlachetne czyny podjęły z nimi bratobójczą walkę, bo to rzekomi rywale w sondażowych krzywiznach poparcia. Ale cóż więcej można oczekiwać od partyjno – rządowej mozaiki osobliwości w tej chwili sprawujących władzę, których myśli zostały zatopione w jątrzących skryptach pisanych przez zwykłego posła.
W tym trybie nie da się zarządzać współczesnym państwem. Posługiwanie się sterami z tylnego siedzenia może być co najwyżej oznaką asekuracyjnego kunsztu wtłoczonego w aureolę bojaźni przed odpowiedzialnością. Efekt tego taki, że co chwilę ojczysty kraj, który mógłby być rozchwytywanym partnerem w międzynarodowych przyjaźniach, musi stawać do karnych raportów przed międzynarodowymi instytucjami. Kto bowiem będzie otwarcie współpracował z krajem o wznoszącym się ryzyku niewiarygodności. Na to sobie rodacy nie zasłużyli, ale partyjni aktywiści prawej i sprawiedliwej partii – już tak.
Demokracja wprawdzie ogranicza pozaprawne ruchy rządzących, lecz nadal w ich dyspozycji pozostaje gama materialnych i moralnych szykan, czym nie gardzą w zabiegach o przychylność swego elektoratu. Skutki tego zatrważają. Na pewno nie jest to dobra zmiana. Rozwijanie rzymskiego prawidła: divide et impera (dziel i rządź) po to, aby skłócać społeczeństwo jest odrażającym sposobem trwania przy władzy. W doskonalszych demokracjach ta forma zarządzania zanika; u nas przeżywa renesans. Spora część społeczeństwa się pogubiła w ciągu wzajemnych sympatii i animozji. Jedni gruntują te krucjaty, inni są im przeciwni, ale wszyscy tracą energię, która w spolegliwej dystrybucji mogłaby pracować na rzecz upragnionej wielkości Rzeczpospolitej. Szeregi żołnierzy zła trwają w bojowym ordynku, a zainfekowani treściami m.in. wpisów do internetowych e-pamiętników (blogów) prominentnych politykierów, nie zdają sobie sprawy z tego, że stali się bezwolnymi ofiarami bezsensownej idei. Zapatrzeni w dzisiaj nie ogarniają historii, współczesności i dnia następnego, w tym czasu swego schyłku, bo przed tą nieuchronnością każdy staje, a z nią najczęściej osamotnienie i zgryzoty.

Rozdroża

Rządzący spychają kraj ku straceńczej rozpadlinie. Duch Nowogrodzkiej szokuje, bo nie zawsze ambicje wodza utożsamiają się z oczekiwaniami społeczeństwa. Rozjazd jest znaczny, ale jeszcze nie zagrażający partii władzy, na co wskazują sondaże, jeśli można im ufać, bo w rzeczywistości są trudnymi do odgadnięcia rebusami w politykierskiej zabawie. Mord na Prezydencie Gdańska i rezygnacja z dyrygenckiego pulpitu animatora Orkiestry (dobrze, że ponownie przed nim stanął), to nieprzeciętne ofiary, które winny przemówić do serc rodaków. Jeśli i one nie dadzą wystarczającego impulsu do rozsądnej korekty zachowań władzy, to Rzeczpospolita znajdzie się w opałach. Może to taki nasz odwieczny los.
Gdański polityczny mord spleciony z Orkiestrą jest wymownym znakiem dla rządzących i opozycji również. Problem w tym, czy zostanie należycie odczytany a partyjne programy skorygowane, bowiem roi się w nich od sloganowych zaklęć o wzorcowej uczciwości,

społecznej wrażliwości, koncyliacji, dialogu etc. Sądząc po ostatnich zachowaniach prominentnych polityków odnosi się wrażenie, że intensywność bratobójczych sporów nie będzie studzona, a owe smutne fakty zasilą arsenał w dodatkową niewybredną amunicję do wzajemnego ostrzału. Nic nie wskazuje, aby poziom zacietrzewienia się obniżył. Wielu z polityków traktuje wydarzenia ostatniego czasu jako dodatkowe inicjujące ładunki w nasileniu wzajemnych despektów, a każda wojna kosztami obfituje.
Zaledwie skromną poświatą na drodze do przywracania dialogu odbiło się spotkanie premiera rządu z przedstawicielami opozycji parlamentarnej (25.1.2019 r.) w sprawie zmian w prawie po śmierci Prezydenta Gdańska. Zakładając dobre intencje obydwóch stron, to urobek z tej wspólnej dyskusji niewielki, jeśli w ogóle tym pojęciem można operować. Była to raczej widowiskowa odsłona mająca sugerować otwartość władzy na rozmowę z opozycją. Nijak się to ma do dotychczasowych sejmowych debat (np. 30 sekund na wypowiedź posła), które przypominają wszystko poza merytoryczną pokorą nad stanowieniem prawa.
Codziennością jest ignorowanie rzeczowych argumentów opozycji przez sejmową większość. Skutków tego doświadczamy, zaś debata publiczna coraz częściej przenosi się na ulice, co bywa groźne. Trudno więc sądzić, aby owo doraźne spotkanie premiera było przełomem w przywracaniu ducha szczerości, zważywszy że nadal tematem tabu dla rządzących pozostają media publiczne, których rola w tworzeniu aury wokół gdańskiej zbrodni i Orkiestry nie jest obojętna. Protesty przed ośrodkami publicznej telewizji nie powinny dziwić. Można rzec, że stało się to na własne życzenie tego medium schlebiającego rządzącej partii i lekceważącego aspiracje innych. Zatem w gorszącym kontredansie pozostaje perfidia żądania daniny na jej rzecz (opłata abonamentu), także od tych, którzy stali się misyjnym bokserskim sparingowym workiem. Dziennikarzy tego medium opuścił duch posłannictwa i dobrej roboty. Ugrzęźli w chałupniczej propagandzie, ale na złotówkowo intratnych posadach. Prowokacyjne zachowania niektórych z nich są godne ubolewania. Wydarzenia na stołecznym Placu Powstańców Warszawy nie powinny dziwić, ale zasmucać może emocjonalnie poprawny styl powszechnego dziennikarskiego potępienia tego protestu, a to już bliskie aberracji. Nieuchronną konsekwencją tego nadal pozostanie gwałt, który będzie się gwałtem odciskał, przywołując na pamięć uniwersalną myśl Wieszcza.

Dociekanie przyczyn

Każdy czyn zabroniony wymaga wyjaśnień. Co do tego panuje powszechna zgoda, także w obliczu gdańskiej zbrodni. W tym przypadku znany jest sprawca i sposób popełnienia przez niego morderstwa. Na domiar tego, po zadaniu śmiertelnych ciosów, oznajmił przez mikrofon, że niesłusznie siedział w więzieniu, a Platforma Obywatelska go tam torturowała i dlatego musiał zginąć Prezydent Gdańska. Działo się to na estradzie podczas koncertu Orkiestry, a więc na oczach wielu. Natomiast niepojęte jest to, że w śledztwie nie przyznał się do zbrodni, zaprzeczając temu, co widziały i usłyszały z jego ust miliony osób. Może szuka uzasadnienia dla swojej zbrodni. Takie są prawa oskarżonego, ale objaśnienie tej niedorzeczności, a może braku odwagi ze strony sprawcy, to już przedmiot pracy prokuratury, kryminalistyków, ekspertów i wreszcie sądu.
Wydawałoby się, że to wystarczający, praktyką uświęcony zestaw instytucji i osób powołanych do ostatecznego wyjaśnienia i osądzenia tego zdarzenia. Tak do końca nie jest. Pozostaje jeszcze opinia publiczna, która zwyczajowo towarzyszy owym specjalistycznym procedurom. Wylała się lawina hipotez oraz krzyżujących się argumentów je potwierdzających lub im

przeczących. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie dochodziło do zacietrzewionych sporów kraszonych partyjnością. Wydawało się, że po opuszczeniu w żałobnej skrusze przeciwnych okopów i publicznego bratania się niedawnych oponentów, zapanuje niczym nie mącona kordialność. Popłynęło przecież ze strony władzy i opozycji wiele potrzebnych i pojednawczych słów. Płonna to była nadzieja. Rychło nastał czas kontynuowania wzajemnych animozji i obrzucania się polityczną odpowiedzialnością za to, co się stało.
Zginął samorządowy polityk, ale czy był to mord polityczny, to już nie jest takie oczywiste. Najwyżej może być inspiracją do podjęcia jałowych sporów. I tak też się stało. Podobnie, jak i problem rzekomych zaburzeń umysłowych sprawcy, roztrząsanych niekiedy w kategorycznych tonacjach na długo przed wynikami specjalistycznych badań, czego nie uniknął ani Prezydent RP, ani premier rządu, ale także minister od sprawiedliwości, co już musi przerażać. Cóż więcej wymagać od ludu.
W ferworze amatorskich dociekań o przyczynach mordu pojawił się wątek szukania podobieństw pomiędzy morderstwem Prezydenta Gdańska i pierwszego po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Prezydenta RP, co stało się 16 grudnia 1922 roku. Wydaje się, że jedyna analogiczność, jaka się pojawia jest liczebnik, bo w jednym przypadku zabójca zadał trzy ciosy nożem, a w innym trzykrotnie strzelił do ofiary. No może jeszcze i to, że obydwaj mordercy nie uciekali po dokonaniu zbrodni. Natomiast konteksty zdarzeń są nieporównywalne. W nawale domysłów nad źródłami gdańskiej tragedii i desperacji dyrygenta Orkiestry powszechnie się wskazuje, że jedną z nich była trwająca od długiego czasu, objawiana wobec tej dwójki i ich najbliższych mowa nienawiści, gróźb, obrażania, pomawiania, brutalnego zniesławiania etc., co współcześnie zwie się hejtem (ang. nienawiść, nienawidzenie), zjawisko skrajnie negatywne. Problem trudny, bo nie sposób postawić znaku równości między atmosferą słownych obwinień a śmiercią osoby. Dla niektórych parlamentarzystów, nawet z adwokackim cenzusem taki związek przyczynowy stał się oczywistością, jak przykładowo dla jednego z posłów rządzącej partii podczas wspólnych obrad Komisji: Sprawiedliwości, Praw Człowieka oraz Ustawodawczej, który za naturalną śmierć dwóch członków Trybunału Konstytucyjnego obwinił wprost jedną z posłanek. Smutny to przypadek, który nie spotkał się z reakcją prowadzącego obrady, a to też prawnik z cenzusem prokuratora. Mieści się to w pojęciu szeroko rozumianej moralności, w tym przypadku ubogaconej wysokokalorycznym politycznym paliwem skutecznie podgrzewającym atmosferę nienawiści i wichrującym zachowania jednostek, zwłaszcza tych o kruchej duchowej odporności. Nieodosobnione też były przypadki obwiniania dyrygenta Orkiestry za śmierć jego przyjaciela. Niedosyt budzi również długa lista szokujących tytułów w prasie i cynicznych telewizyjno – radiowych dziennikarskich i eksperckich popisów. Trudno pojąć ten nadmiar zacietrzewienia.

Co dalej?

Nie sposób przewidzieć społecznych skutków gdańskiego zabójstwa i chwilowego opuszczenia dyrygenckiego pulpitu Orkiestry przez jej animatora. To, że owe zdarzenia wywrą piętno na codzienności nie budziło wątpliwości. Już dzisiaj w kontrze pozostają zarówno patetyczne opinie, jak i urągliwe komentarze. Niebezpieczna to mieszanina wybuchowych odczynników. Źle by się stało, aby górę wzięły emocje, a jedynym dostrzegalnym panaceum na ich studzenie byłyby poddanie się bezwolnemu powiększaniu chronometrycznego dystansu do tych zdarzeń. Upływ czasu jest pozaczłowieczym parametrem, ale możliwym do poprawnego zagospodarowania. Natomiast groźne jest otępienie w jego odliczaniu w stylu, że czas goi rany.

W tej chwili pryncypialnym zadaniem rządzących jest perfekcyjne zakończenie śledztwa w sprawie morderstwa oraz podjęcie prawem nakazanych czynności wobec osób, które bez powodów atakowały nie tylko tych dwóch Gdańszczan, ale wielu innych prawych obywateli naszego kraju, jak i cudzoziemców. Pierwsze jaskółki się pojawiły. Oby nie były ostatnimi, bo idea walki z hejtem już trafiła na wykroty, przykładowo w odniesieniu do szkolnej młodzieży. Trudno przecież znaleźć godniejszy grunt do inwestowania w niematerialne wartości i to w zgodzie z przysłowiem: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Wielu jednak kwestionuje tę oczywistość. Ich argumenty są zazwyczaj polityczno - poddańczej natury, maltretującej zdroworozsądkowe odruchy sporej rzeszy uczniów, ale rodziców również. W tym niepojętym obskurantyzmie mieści się m.in. nieprzychylna reakcja gdańskiego Kuratorium Oświaty na inicjatywę własną uczniów trójmiejskich szkół zorganizowania marszu (6.2.2019 r.) przeciwko agresji w życiu publicznym, nietolerancji i celowemu pogłębianiu podziałów społeczeństwa. Marsz się odbył ku zadowoleniu, co ważne uczniów, ale i racjonalnie myślących obywateli tego historią doświadczonego miasta. Rodzi się pytanie: czy jego trasa z ożywczymi przesłaniami nie powinna zahaczać o skostniałe, bojaźliwe i tchnące kunktatorstwem miejscowe kuratorium. Jedno jest pewne, że tłamszenie swobody myśli i czynów szkolnych latorośli bez rozsądnej alternatywy stanowi zbrodnię popełnianą na kanonach pedagogii. Byłoby wspaniale, gdyby kuratoryjni urzędnicy z entuzjazmem wtopili się w te uczniowskie wagary.
Nie sposób sprowadzać procesu kształtowania nawyków godnego postępowania w życiu wyłącznie do lekcji wychowawczej, bądź, co bądź ważkiego sposobu walki m.in. z językiem nienawiści. Treści tam przekazywane winny wytyczać drogi dochodzenia ku spolegliwości. Owe 45. minut rozmowy o moralnych kanonach społecznego współżycia jest cenne, lecz nie rozwiązuje problemu. Aplikowane tam prawdy muszą twórczo rozwijać nauczyciele wszystkich przedmiotów. Gruntowanie nawyków praktycznego stosowania moralnych reguł w dorosłym życiu, to interdyscyplinarna powinność ciążąca nie tylko na wychowawcy klasy, lecz także na poloniście, matematyku, historyku, fizyku, biologu etc. Do tego jest potrzebna kwalifikowana, a nie tylko zwyczajowa wiedza o praktycznych konstrukcjach moralnej etykiety. Niepokoi zatem stan umysłów tej części pedagogów i ich nadzorów oraz co niektórych rodziców, wzbraniających się przed profesjonalnym objaśnianiem uczniom szkodliwości hejtu w profesjonalnej formule. Dobra zmiana i tę oczywistość ignoruje.
W kotle nieokiełzanych indywidualnych ambicji, warto odnotować ponowiony apel Rady Języka Polskiego PAN wzywający polityków i dziennikarzy do wzmożenia odpowiedzialności za słowa. Jego treść daje się z powodzeniem adoptować przez różnorakie środowiska społeczne, a nade wszystko przez zajmujące się zawodowo edukacją na różnych jej szczeblach. Trudna to nauka, a jeśli jest mącona społecznie rozdartymi preferencjami rządzących, to perspektywa pozytywnych wychowawczych skutków rysuje się mgliście.
Zatem nie od rzeczy, lecz dla dobra RP jest zainteresowanie się Unii Europejskiej gdańską tragedią. I dobrze, że tak się dzieje. Ważna była debata w Parlamencie UE z udziałem najbliższych tragicznie zmarłego Prezydenta Gdańska, dotycząca zagrożeń praw podstawowych w niektórych państwach. Ale władcy RP nie byliby sobą, by i tam nie dorzucili łyżki dziegciu. Nie zbrakło więc oskarżeń ze strony rodzimych patriotów, że rozmowy o Polsce na forum UE, to donos dezawuujący nasz kraj. Wydaje się, że to właśnie oni, eksponując wsteczne tendencje, kancerują twarz Polski w świecie w zamian za poklask swoich krajowych zwolenników. Cena wygórowana i na domiar spychająca RP do partykularza.
Zasmuca wstrzemięźliwość Kościoła katolickiego w umacnianiu narodowej jedności w przeciwieństwie do niemiarkowanego dbania o własne merkantylne profity. A to już zuchwały

konflikt bogactwa z ewangelicznymi przypowieściami, jak tej o ubóstwie. Może to znajdować jakieś usprawiedliwienie w istnieniu dwóch ośrodków władzy w Polsce na co wskazał Przewodniczący Konferencji Episkopatu, zatracając istotę posłannictwa Kościoła i roli instytucji państwa na ojczyźnianym obszarze. Materialny, a więc doczesny obskurantyzm wziął górę nad katechezą?
A już na pewno źle się dzieje, jeśli różnorodność wierzeń, przekonań, pragnień etc. obywateli jest nadwyrężana i licytowana wedle kościelnej miary przez partyjnych urzędników. Zła to nota dla państwa i taka sama dla Kościała. Polska nie jest Watykanem, a i za spiżową bramą inaczej załamuje się problem wiary oraz polityczno – materialne przyziemie.

* * *

Prominentni politycy z nazwiska i imienia nie odpowiadają wprost za śmierć Prezydenta i desperację dyrygenta Orkiestry, ale wykluczyć nie można, że niektórymi swoimi zachowaniami mogli sprowokować okoliczności, które stały się impulsem prowokującym niegodne zachowania innych. Jeśli uzupełni się to werbalnymi medialnymi bójkami polityków i arogancją w stanowieniu prawa oraz wybiórczym jego egzekwowaniem, to uzyskujemy obraz państwa oddalającego się od demokratycznych reguł. Zachodzi potrzeba wypracowania koncyliacyjnych sposobów prowadzenia sporów. Apel ten może brzmi naiwnie, ale tkwi w nim nierozpakowany bagaż do rozmyślań nad formami podejmowania pozytywnych działań ku dobru RP. Rządzący zapomnieli o instytucji kompromisu tak ważnym w demokracji, traktując partyjne racje jako ostateczne. Szukanie winnych za popełnione błędy poza instytucjami państwa i rządzącej partii, a więc z dala od siebie, jest sztubackim zachowaniem. I taki to wydźwięk ma apel rządzących o modły za duszę Poległego. Odczyt tego jest jednoznaczny, bo wskazuje na bezradność władców w sytuacji kryzysowej i wkraczanie w kompetencje resortu od spraw wiary, tj. wspomnianego Episkopatu Polski.
Dzisiejszych władców RP nie stać na ponoszenie odpowiedzialności politycznej, kiedy to zawieruszyli własną dumę, stając się bezradnymi, niewiarygodnymi czy wręcz nieudolnymi w trudnych sytuacjach, jak chociażby w gdańsko – orkiestrowym wzburzeniu. Spektakularne oddawanie się do dyspozycji premiera jest populistyczną fikcją, ale ku zasmuceniu, dla sporej gawiedzi bohaterstwem. Obłudny to komunikat, bowiem każdy minister od chwili powołania na urząd pozostaje w nieustannej dyspozycji premiera i to on w każdym momencie decyduje o losie swego podopiecznego. Propagandowe deklaracje podwładnych, że oddają się do jego dyspozycji, obraża rozumną część społeczeństwa. Autentyczną formą pokory jest wyłącznie pisemna rezygnacja z piastowanego stanowiska bądź autonomiczna decyzja premiera rządu w tym zakresie. Unikatowe to jednak przypadki zarezerwowane dla ludzi i z pakietem odwagi, dla których zbyteczne są marynarskie doświadczenia, czym niektórzy się chełpią, bo i one, jak się okazuje, wiatrem podszyte, a co gorsze stępiają sens i wyrazistość pieśni hymnicznej: Morze, nasze morze…, a na dnie z honorem lec.
Taki to format dzisiejszej partii władzy. W tej sytuacji personalna korekta osobliwego garnituru obecnie rządzącego krajem może nastąpić jedynie w drodze przemyślanych masowych wyborczych skreśleń, co niebawem przed nami. Warto też zastanowić się nad tym, czy frekwencja wyborcza stanowi jedyne remedium na poprawę obecnej sytuacji w kraju, a taka to wątpliwość prześladuje m.in. prof. Ludwika F. Stommę, antropologa, wykładowcę Sorbon

Janina Łagoda